Lwów, 21. Grudnia. Nr 152. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wierszu pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczendi Bióro expedycyi wksięgarni *H. W. Kallenbacha*.

Z ŻYCIA AKTORA POLSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Lecz omdlenie było nadzwyczaj krótkie. Ledwie spoczęła na moich rękach, podniesła oczy na mnie, i przenikliwym oglądnęła mnie całego wzrokiem.

— *Deus ex machina!* zawołał głos szyderczy z wozu.

— Ktokolwiek jesteś cudzoziemcze! zawołała hrabina podnosząc się: posłuchaj mnie. Te aktory wydzierają mi córkę, córkę najdroższą.

— Pani hrabino! myśmy przedstawicielami sztuki, najstarożytniejszej i najdzielniejszej, bo oddającej wszystkie ludzkie namiętności, i wszystkie najważniejsze wydarzenia dziejowe.

— Zosiu! idźmy ztąd precz! ozwał się młodzieniec.

I porwali się oboje młodzi za ręce.

— Aktory! no proszę kogo! a czemże jejmość byłaś całe życie jeżeli nie aktorką, tylko żeś licho skończyła, i świat cały cię wyświstał, zagadł sentencyonalnie komiczny jegomość z wozu.

Te słowa z komiczną powagą wymówione zrobiły na mnie wielkie wrażenie, i nadały całej tej scenie nowe i ciekawe znaczenie. Więc byłem między aktorami, których nigdy z tak bliska nie widziałem, a do których jako młody człowiek wielki miałem pociąg, domyślając się Bóg wie jakich ciekawych i uroczych tajemnic za zasłoną kurtyny. I na przeciw tych ledwie ubranych aktorów prawdziwych, stała jak dobrze powiedział trędowaty jegomość, ta tyloletnia aktorka salonowa, hrabina Odorska, która tyle w życiu swoim ról odegrała, kochanki bohatyra, pani milionowej, damy wielkoświatowej, kobiety utrzymywanej, i na końcu odarta z szat teatralnych, młodości, wdzięków i złota, wygoniona ze sceny salonowej, na gościńcu przed istotnemi aktorami, odgrywa licho naśladowaną rolę czułej matki, ona u której uczucie matki ważyło się zawsze na wagę złota, ona która dzieci swoje kochała w miarę bogactw ojca.

— Kochana mamo! ozwała się Zosia znowu głosem tak lubym i szczerym, że nikt mu jak mi się zdało, oprzeć się nie był wstanie. Nie męczmy się wyrzutami niepotrzebnemi; wszak widziałaś sama, że ja zostalam aktorką... i niemiałaś nic przeciw temu.

— Ale wóz ten!...

— Może to wóz, pani hrabino, który naszą Zosię zawiezie do nieśmiertelności.

— A przynajmniej do wygodnego bytu, kiedy kareta zawiozła mnie do głodu i nędzy.

— Ja bym chciał by nas zawiózł do tej karczmy! ozwał się niepoprawiony żartowniś, i tęskne westchnienie z potężnym kłębem dymu wysłał ku porządnej choć drewnianej karczmie, która stała tuż przed nami z otwartą bramą, jakby z otwartemi do uścisku ramionami, i z której wyglądały ku nam bure oczy starozakonnego gospodarza, pożądliwym i magnetycznym na nas patrząc wzrokiem.

Uwaga trędowatego jegomości wydała mi się praktyczna bardzo, mianowicie, że mi jakoś przykro się robiło na myśl rozstania się tak nagle z tym tak dla mnie zajmującym epizodem życia mego. A do tego w tej chwili właśnie przypomniałem sobie, co mi woźnica pierwej mówił, że jeden koń zakulał, zgubiwszy podkowę.

— Już jest nawet późno, ozwałem się, a do najbliższej karczmy w lesie, dobra mila.

— Przenocujcież przynajmniej tu, choć tę noc z tobą przepędzę, zawołała matka z tonem komicznej rezygnacyi, odwracając się od woza, tej przyczyny całego lamentu.

— Szkoda że pan dobrodziej jedzie do miasta, dodała zwrócona do mnie; odwiózłbyś mnie pan jutro.

— Niemam nic pilnego! wyjąknąłem. Oczywiście kłamałem, i poczerwieniałem po uszy, mianowicie gdym ujrzał szyderczo-komiczny wyraz na twarzy trędowatej.

Stanęliśmy wkrótce wszyscy w karczmie; wóz i bryczka zajechały, z niemałem zadziwieniem mojego Michała. Z naiwnem zadziwieniem patrzałem jak się z woza wysypało kilku mężczyzn, i parę kobiet; wszyscy poubierani byli dosyć excentrycznie. Excentryczność ta wszakże pochodziła oczywiście z konieczności. Szczegółowym opisem i strojów i twarz nudzić nie będę, wszak i z rzeczywistości i z opisów, każdemu prawie znajome są wędrowcze trupy aktorów, te brudne, wszystkiego najczęściej pozbawione karawany, wiozące przecie ze sobą tę najwznioślejszą przedstawicielkę naszej wyższości, wiozące sztukę, a z nią od miasteczka do miasteczka, wiozące dla głodnych tego użycia mieszkańców, szlachetniejsze wyobrażenia, naukę dziejową, i co najwięcej, czystszy język swojski. Biedne karawany wędrujące często o głodzie i chłodzie, wam przecie zawdzięcza wiele oświata, do której rozprzestrzenienia jesteście jedną z najgłówniejszych sprężyn!

Gdy się już wszyscy i wszystkie wydobyli z woza, wyj-

mując rozmaite nie zbyt wielkie zawiniątka, oboje młodzi przystąpili do niego z pewną skwapliwością.

— Chodź prędzej Jasiu! zawołała Zosia, i uśmiechnęła się trochę, patrząc z pod oka na moją zagapioną minę.

I okazał się naprzód pudel dosyć spory, wyskakujący z woza.

— Sznaps! Sznaps! zawołali młodzi, głaszcząc go.

A za nim pokazała się jeszcze twarz kobieca. Była to staruszka, z dziwnie miłą i poczciwą twarzą.

Oboje młodzi wynieśli ją raczej, niżeli wysadzili. Staruszka pocałowała młodzieńca w głowę, a Sznaps lizał wszystkich na wyścigi.

— To moja matka! ozwał się młody człowiek do mnie, widząc że się patrzę na tę scenę z zajęciem. A to mój przyjaciel! dodał wskazując pudla.

— Niedobry! rzekła Zosia, uderzając go z lekka.

— A to moje wszystko! dodał jeszcze wyjmując maleńkie zawiniątko, którego znaczną część stanowił bochenek chleba, i uśmiechnął się figlarnie, dzieląc wzrok swój między dziewczynę i zawiniątko.

Mniemam że nader niezgrabnie musiałem wyglądać przy tem wszystkiem. Zosia bowiem głośnym parsknęła śmiechem, wyszczerzając białe ząbki, i porwała mnie za rękę, ze śmiałą poufałością, która mnie jeszcze żywszym oblała rumieńcem.

— Chodź pan teraz z nami; należysz przecie do naszego towarzystwa, przemówiła do mnie.

— Nie przestraszaj się pan, przerwał Jaś wesoło podając rękę matce; to tylko na kilka godzin noclegu.

— Pan zapewne z Krakowa! przemówiłem uderzony jego czysto krakowskim akcentem, tyle dla serc naszych miłym.

— A z Krakowa panie! odpowiedział.

Mimowolnie uczułem do niego sympatyę, która w młodym wieku tak łatwo przychodzi.

Gdyśmy weszli do wielkiej izby gościnnej, zastaliśmy całe grono aktorów i aktorek zgromadzone, i zajęte oczyszczaniem sukien z prochu; kobiety mianowicie pchały się wszystkie do maleńkiego na ścianie zawieszonego lusterka. Trędowaty jegomość, który oczywiście był komikiem towarzystwa, rozprawiał żywo z starozakonnym gospodarzem. Ujrzawszy nas, zawołał:

— Chodźcie państwo! chodźcie wszyscy. Dzisiaj dane będzie nowe mimiczno-artystyczne przedstawienie, pod tytułem: Jajecznica, czyli nocleg pod lasem. Wzywają się do pomocy wszelkie talenta, by godnie uczcić to arcydzieło, którego autorką jest sławna Sura, małżonka zacnego Moszka, córka Srula, z pokolenia Lewi.

— Spodziewam się, że może i co lepszego dostaniemy; ozwałem się porwany powszechną wesołością.

— Miasto bardzo blisko! zauważała hrabina.

— No zacny protektorze sztuk pięknych! nie zapomnij o hipokrenie.

— Jakże nam miło, i jak wdzięczni jesteśmy, że nas zaszczycasz swojem towarzystwem! dodała afektowana panna Eulalia, którą pierwej słyszałam rozmawiającą z hrabiną i dygnęła mi, zalotnym mierząc mię wzrokiem.

Jakoż postarałem się w rzeczy samej, o lepszą nieco wieczerzę, co mnie zaraz postawiło w bardzo dobrem stanowisku. Wieczerza odbyła się wesoło i gwarnie, mimo tonów jakie dawała sobie pani hrabina i afektacyi, z którą panna Eulalia ze względu na mnie występowała.

Przy kieliszku, poznaliśmy się wszyscy lepiej. Ja mianowicie czułem pociąg niejaki do krakowiaka który przez cały czas z serdecznem uczuciem posługiwał matce, niezapominając przytem o Zosi i o pudlu. Sznaps był ulubieńcem całego towarzystwa, któremu odwdzięczał się pokazywaniem wszystkich sztuk swoich. Prócz sympatyi, jaką uczułem dla krakowiaka, trapiła mnie także ciekawość. Zapewne już wówczas musiałem mieć żyłkę do powieściarstwa, i rad byłem dowiedzieć się od niego o całym jego stosunku do tej młodej dziewczyny, która będąc córką hrabiny, została aktorką. I krakowiaka cieszyło poznanie ze mną, poczciwy i żywy jak każdy krakowiak, rad rozmawiał o rodzinnem mieście, które ja znałem. Snać zmiarkował ciekawość moją, po kolacyi bowiem:

— Chodźmy się przejść; ozwał się do mnie: szkoda przespać tak pięknej nocy.

I prawda że noc była cudownie piękna, noc prawdziwie czerwcowa, z jasnym księżycem i gwiazdami na pogodnem niebie, z wonią wiosnianą, która zewsząd, z lasów i łąk wznosiła się ożywczo w powietrze, i z tym harmonijnym ciszę nocną przerywającym szmerem, który nigdy nie ustaje, w okolicach mianowicie leśnych. O kilkadziesiąt kroków od karczmy usiedliśmy na starej powalonej sośnie. Pod stopami naszemi szumiała w łotok ściśnięta rzeka i jak gwiazdy na niebie łyskały światła po chatach przedmiejskich; a z dołu jaśniejszem łunem odbijało się oświecenie miejskie.

Nie potrzebowałem się go długo wypytywać, bo sam zaczął mi opowiadać o sobie z tą szczerotą, jaka charakteryzuje krakowiaków. U nich zachował się najlepiej ten typ czysto polskiej serdeczności, otwartej, udzielającej się łatwo, gwałtownej nawet czasem, nie lubiącej nic w bawełnę obwijać. Krakowianie są żywą, tak jak Kraków jest kamienną tradycyą naszej przeszłości.

Zaczął przedewszystkiem mówić o Zosi. Historia jej życia nie była długa. Zosia była córką hrabiny Odorskiej, przynajmniej ta ją jako taką przywiozła raz z sobą z zagranicy, po której się wiecznie włóczyła. Hrabina Odorska pochodziła w rzeczy samej z szlachetnej rodziny, i była za młoda jedną ze sławnych piękności; piękność ta

stała się powodem jej wzniesienia się, i jej upadku. Wychowana w pańskim domu, pod wpływem tej edukacyi jaką u nas dawano dawniej, i dają dotąd jeszcze, edukacyi powierzchownej i cudzoziemskiej, a mianowicie pod wpływem owoczesnych obyczajów, zepsutych dworem Stanisława Augusta, małpującego Ludwików XIV. i XV. naśladowaniem wad zagranicznych, i brakiem wszelkiej wiary, czy w Boga, czy w cnotę, nic dziwnego że wyszedłszy na scenę świata, zapełniła go awanturami miłosnemi, których skandaliczność była właśnie jej największą w świecie ponętą. Kochanków mieniała często i gęsto. Od wyższych z których jeden przez czas jakiś okrywał jej niejako postępowanie sławą swego imienia, przechodziła, zwykłą w tej mierze koleją, do niższych, wybierając wszakże bogatych. Bo jak wszystkie tego rodzaju kobiety, kochała się tylko w zbytkach; to też miliony przeszły przez jej ręce, i stajały w nich jakby grudka śniegu. Dzieje jej życia w tym względzie byłyby ciekawe nadzwyczaj, lecz nie tu należą. Znikły miliony, znikła pomału i piękność, a ludzie którzy jej przebaczali dopóki pobłażanie kupować mogła trwonieniem złota i wdzięków, stawali się tem surowsi, im mniej miała już do trwonienia. Na starość przyszła do najokropniejszej nędzy. Od wszystkich, co jej niegdyś pochlebiali odepchnięta, żebranym żyła chlebem. Jej upadek moralny i fizyczny był tak straszny, iż prawdziwie wierzyć trzeba było, że to był dopust opatrzności, na przykład ludziom dany.

Zosia w zbytkach wychowana przez taką matkę, nie wiele mogła mieć w sobie moralnych zasobów. Jeżeli nie zupełnie poszła za śladami matki, przypisać to trzeba było brakowi okoliczności i tych nadzwyczajnych wdzięków, jakie posiadała matka. A może też obroniło ją od zupełnego zepsucia coraz gorsze majątkowe położenie. Zbytek w jakim żyły obie z matką, stawał się coraz więcej sztukowany, i łatany powierzchownie robieniem długów. Za niemi ślad w ślad szły upokorzenia różnego rodzaju, z dodatkiem prześladowań tych wszystkich, które robią dłużnika prawdziwą źwierzyną, przez wierzycieli gonioną bez odetchnienia. Życie to znudziło Zosię; trafił się jej mąż, za którego, nie kochając go, uciekła po prawdzie przed matką, wożącą ją po świecie jak towar na handel przeznaczony. Na małżeństwie tem oszukali się oboje. On nie dostał majątku jakiego się spodziewał, ona znalazła w nim człowieka bez uczuć i wychowania. Bez najmniejszego skrupułu porzuciła go, a bojąc się wrócić do matki, niemając żadnego innego utrzymania, została aktorką, do czego pociągało ją zamiłowanie dawne w teatrze, i żądza zupełnej wolności. Niemając w tym zawodzie talentów odznaczających się, i idąc za kaprysem chwili, przechodziła z jednego towarzystwa do drugiego, aż nareszcie przywiązawszy się do krakowiaka przyłączyła się wraz z nim do tej wędrownej trupy, puszczającej się właśnie w świat.

— Musisz ją kochać... kochać nad wszystko!... spytałem najnaiwniej.

— Kocham szczerze; odrzekł mi, i wesoła twarz jego przybrała więcej nieco powagi. Ale, nad wszystko, to za wielkie słowo... ja kocham moją biedną matkę która mnie jednego ma na całym świecie, i którą nikt prócz mnie już nie kocha, chyba Sznaps poczciwy.

— To co innego... ale Zosię?..... badałem dalej ciekawie.

— Pan jesteś jeszcze młody, i bardzo młody! odrzekł mi; dla ciebie miłość jest jeszcze obrazem na pół obsłonionym mgłą wszystkich złudzeń młodzieńczych, pan jeszcze po niebie błądzisz. Ja mam lat trzydzieści, choć młodo wyglądam, i chodzę już dawno niestety po ziemi, ja mam panie doświadczenie, i to doświadczenie podwójne, sceny życia, i sceny na deskach teatralnych. Za obie kulisy zaglądając, trudno zachować marzenia lat młodych.

Gdy to mówił, malował się rodzaj smutku na wesołej zwykle twarzy.

— Ależ miłość przecie?

— Miłość jak wszystko inne na swiecie, jest znikoma. Ja kocham Zosię szczerze, bo ma poczciwe serce; mimo wychownia i nauk matki, dobre i w gruncie szlachetne z niej dziecko. Ostatnim groszem gotowa się podzielić z biednym. Kocham ją.... dodał wzdychając, i to wiem że ją pierwszy nie porzucę.

— Ale musisz być od niej kochany, kochany całem sercem... a to szczęście największe.

— Kochany! odrzekł pół smutno, a pół z uśmiechem. Któż zajrzyć zdoła do serca, kto odgadnie tajemnice serca ludzkiego, a cóż dopiero serca kobiecego? To wiem z pewnością; dodał i wesoły uśmiech rozjaśnił zasępioną twarz: to wiem tylko, że Sznaps mnie kocha niezawodnie, mnie jednego, i nigdy kochać nie przestanie.

(D. c. n.)

Pieśń moja.

Smutno, tęskno płyną chwile,
Pieśń bojowym brzmiąca dźwiękiem,
Dziś jak brzoza na mogile,
Zapłakała się rozjękiem.

Duma stepu czaromoca,
Czarodziejska, pokurhanna,
Dziś jak rzewna łza sieroca,
Dziś jak płaczka nieustanna.

Wciąż mi dzwoni swoje bole,
Wciąż w rodzime rwie mię strony,
Na Podole, na Podole!
W nad-bohowy step zielony!

Nad Rów, Smotrycz, nad Ładawę,
Wciąż we wszystkie jęczy tony,
Już mi serce, oczy łzawe,
Zczarowała w tamtą stronę.

I sny moje zczarowała,
Myśli jak śnieg w bujnem polu,
Rozsypała, — taj rozwiała,
W Ukrainie — po Podolu!

Myśli moje, ptaki senne,
Zamiast skrzydłem bić w wyżynę,
Płyną rzewne, łzą brzemienne,
Na Podole, w Ukrainę.

Pieśni! pocóż, pocóż płacze?
Płacze, jęki, wola boża!
Bóg nam zrządził dnie tułacze,
Burza pędzi na bezdroża.

Tóż bez skargi — uśmiech burzy —
Śmiech piorunom — losom wzgarda,
Niech się wichrzy, grzmi i chmurzy,
Duch mój wyższy, pierś ma twarda.

— Puść mię, piewco! puść na wolę,
Ja jak ptaszę w lot powionę,
W Ukrainę, na Podole,
W marzeń stronę, w wspomnień stronę.

— Ja zaniosę twej rodzinie,
Pozdrowienie z obcej strony,
I łzę tęskną co z ócz płynie,
Sny, co prześni duch stęskniony.»

Wciąż mi jęczy czaromoca,
Duma moja pokurhanna,
Wciąż jak wieczna łza sieroca,
Płaczka wspomnień nieustanna.

H. J.

Najnowsze dzieła.

Zachwycenie i Błogosławiona przez Teofila Lenartowicza, Poznań 1854.

Żyjący we Francyi poeci polscy umilkli od lat kilku zupełnie. Czasami tylko odezwie się mieszkający w Fontainebleau Teofil Lenartowicz jakimś rzewnym wierszykiem. Najwięcej pisze do szkółki dla ludu polskiego. Do ducha więc i potrzeb tego ludu zastosowuje swą fantazyę. Ale zawsze w przedmiot obrany umie wlać taką siłę poezyi iż cały naród kocha się w jego utworach. W Nowinach umieściliśmy dawniej kilka jego poezyi w rodzaju sielankowym, ale prostotą i rzewnością wcale niepodobnych do dawniejszych naszych sielanek. Teraz wyszły w Poznaniu dwa poemata Lenartowicza: *Zachwycenie* i *Błogosławiona*.

Już kilkakroć wytknęliśmy chybioną dążność poetów mistyków. Używają oni poezyi do propagandy mistycyzmu. Otóż i obiedwie poezye Lenartowicza mają cechę mistycyzmu. Lecz różnica w tem zachodzi, iż Lenartowicz używa mistycznej wiary ludu do podniesienia postaci poetycznych. Co u poetów mistyków jest celem, to u Lenartowicza jest środkiem. Przytem mistyczność wiary ludowej w dotykalnych prawie objawia się zawsze formach i postaciach. Z tąd wyprowadzone na tem tle ludowem postacie poetyczne są tak jasne, tak pełne życia, iż ich nadprzyrodzonej, nieodgadnionej, istoty nawet nie spostrzegamy. Jeżeli poeta przedstawiając stosunki realne codziennego prawie życia, nagle śród nie rzuca jakąś cudowność mistyczną, zupełnie nie przypadającą do treści poematu i tem rozwiązuje zawikłanie jakto n. p. Pol Wincenty uczynił w Czarnej krówce, natenczas razi nas to rozwiązanie, rodzi jakieś nieukontentowanie. Przeciwnie nie razi i niewierzącego nawet, jeżli Lenartowicz na tle podania ludowego, iż w letargu dusza człowieka ma sobie odkrytą przyszłość, ogląda niebo i piekło, ale jej o tem mówić po ocknięciu wolno tylko istotom niewinnym, jako to małym dzieciom, osnuwa ładny swój poemacik *Zachwycenie*, w którym matka dziecku swemu opowiada, co widziała w zachwyceniu t. j. w letargu swym w niebie, czyścu i piekle. Opisuje ona niebo i piekło w postaci takiej w jakiej je sobie wyobraża fantazya ludu religijnego. A że wszystko co lud fantazyą swoją zaludnia, jest jasne i dotykalne prawie, więc choć ramy i tło są mistyczne, w jasnych i dotykalnych obrazach odmalowane są wszystkie postacie. Najpiękniej opisane jest niebo. Chłopczyna pyta:

— Mateńko moja proszęż ja ciebie,
Co też tam robi Pan Jezus w niebie?
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza, Najświętsza panna?
— O! moje dziecko, o! kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne co skubią trawę,
I nie boją się takie łaskawe,
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka Najświętsza dla ludzkiej nędzy,
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owej roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nitek babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.
— Matulu moja, czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?
— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się plemi.
— Jest też jak u nas matulu droga
Taka wesołość u Pana Boga?
— O! moje dziecko, jak ci się zdaje?
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.
— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?
— O jeszcze piękniej, jeszcze weselej,
Na złotych skrzypkach grają anieli.
— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?

— Tam gdzie się uczą ptaszkowie leśni
I nasi ludzie — w rumianej zorzy,
We łzach radości, w miłości bożej....
— Matulu moja, powiedzcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną,
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewczę co zbiera ziele,
I tego dziada co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce,
Na małym wzgórku przy bożej męce?
— O! widać wszystko gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy;
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.
— Powiedzcież teraz mateńko droga,
Co tam jest więcej u Pana Boga?
— Potem widziałam strasznej wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą,
A Piotr apostół kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim,
I patrzył na świat żałosnym wzrokiem.
Bo w owej księdze wszystko tam stoi:
Co tylko człowiek na świecie zbroi,
I co się stało i co się stanie,
Jest o tym w niebie jasne pisanie;
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko.
— Słuchajcie ino matulu droga,
Czyście widzieli i stwórcę Boga?
— Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem,
Tylko z promieni co z tamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże.
— A jak daleko matko do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?
— Bogać tam miesiąc o moje dziecię,
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dójdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty apostoł boży
Złocistym kluczem niebo otworzy.

Dalej przechodzi poeta do opisu czyśca. Fantazya ludu dostarczyła tu poecie barw do tego opisu. Niepewną nogą szła matula z nieba do czyśca bo droga tam bardzo spadzista. Aż przyszła tam gdzie koło płota stawają tęskniące duszyczki sieroty, z oczami przymkniętemi, z otwartemi ustami.

Do koła pustka, gdzie zwrócisz oko,
Wszędzie jak zajrzeć długo, szeroko,
Żadna się trawka z ziemi nie puszcza,
Gruda i gruda, pochmurna puszcza.
Po polu wicher przeciąga suchy,
W którego zimnie drżą biedne duchy.
— To te duszyczki, proszę ja matki,
Nie mają swojej na zimę chatki,
Ani przykrycia, ani odzieży,
I to tak wszystko na słocie leży?...
— O mają one swoje poddasza,
Ogrody, chaty takie jak nasza,
I takie wody, i takie pola,
Ale im do nich wrócić niewola.
— Cóż one robią, czem się tam bawią?
— Chodzą po grudzie i nogi krwawią,
A inne proszą rzewnemi słowy,
Żeby im Bóg dał wieniec cierniowy.
I na ich prośby w pochmurnem polu,
Jawi się anioł cichego bolu,
Z koroną Zbawcy całego świata,
Z której kroplami święta krew zlata.
A na ten widok okrutnej męki
Żadna po wieniec nie wznosi ręki;
Ran Zbawiciela słodkich się boją,
I przed aniołem wylękłe stoją;
A potem jakby wróble spłoszone,
Lecą powietrzem w pole zamglone. —
— To dla nich nigdy słońce nie świeci?
— Czasem maleńki promyczek zleci,
Gdy ludzie mówią *Zdrowaś Marya*,
Wtedy się słońce przez mgły przebija,
I smutne światło na ziemię sieje,
W którem gromada duchów się grzeje.

Piękny jest ustęp gdzie matula opisuje, jak słyszała w czyścu kwilenie dzieci. Żal ją straszny ogarnął, w oczach się ćmiło zakłopotanej:

— Były to dzieci zmarłe przedwcześnie,
Co się skarżyły bardzo boleśnie,
Że im świętego chrztu strumień chłodny
Nie obmył z duszy grzech pierworodny.
Boso, w koszulkach, zmęczone całe,
Leciały ku mnie kochanki małe,
A ja nad niemi wedle zwyczaju,
Żeby już sobie poszły do raju,
Zrobiłam krzyżyk ręką życzliwą:
„Idźcie dziateczki w drogę szczęśliwą;
„Ja was chrzczę w imię Ojca i Syna."
Ledwiem skończyła, każda dziecina
Wznosi się zwolna w ciche powietrze, —
Prześliczne duszki od puchu letsze,
Wzlatują w górę i nad mą głową
Wiszą plecionką złotą, różową.
Im wyżej lecą, tem nieznaczniejsze,
Coraz to mniejsze, coraz to mniejsze;
Jeszcze znać słodki uśmiech aniołków,
I lekką odzież barwy fiołków,
Wreszcie znikają jak krople rosy,
I nic już nie ma.. tylko *niebiosy!*

Równie silnie jest opisane piekło. Zaraz na początku matula mówi, iż widziała rodzinę idącą do piekła, wszyscy czuli swe nieszczęście a jednak jedni drugich pod serca kłuli, jeży się i ślini żona na męża, siostra na brata, ojciec na syna, a syn na ojca. W piekle widziała jak:

Wszystko zniszczone, wszystko się wali
Trzeszczy zapada, gnije i pali
A pod gniewliwych niebios zasłoną
Świeci zła gwizda miotłą czerwoną
. . . .
Pod czarnem niebem, Boże mój Boże!
Widziałem owe madejowe łoże:
Na nim śpi zdrajca z czerwoną brddą,
Cały oblany śmiertelną wodą,
Wąż opasuje spodlone czoło,
Zwinąwszy ogon w złociste koło,
Nikczemną duszę kłębami ściska;
Z oczu łzy kapią jak złe źródliska,
Lecz nadaremnie — wszystkie boleści
Ile ich otchłań piekielna mieści,
Żadne łez krwawych morze nie spłaci,
Godziny męczarń skrzywdzonych braci.

Poeta kończy opowiadaniem matuli, jak wychodząc z piekła budzi się z swego letarga, i spostrzega trumnę, w której ją chować chciano, dziada odmawiającego pacierze i dziecie swe swe modlące się u jej nóg i w twarz jej wpatrujące się.

I jakieś ciepło słodkie wiosenne
I jakieś światło ciche promienne
Wstąpiło we mnie jak biała zorza
Jak czysta miłość, jak łaska Boża. (D. n.)

Pepita w Krakowie.

W obce niepamiętanej drogości w Krakowie, w obec narzekania powszechnego, na rzeczywistym stanie niedostatku opartego, spadła na Kraków Segnora Pepita de Oliva. I skargi na drogość, a za nią sprawiedliwe żale na biedę i niedostatek zamilknąć musiały, mianowicie z strony tych, którzy obojętność na potrzebę wspierania ojczystej sceny narzekaniem na ciężkie czasy usprawiedliwić chcieli.

Niepowiem nic o cyrku amerykańskim, który od kilku tygodni (chociaż z cyrkiem Beranka równać się nie może) zwycięzko w walce z owym niedostatkiem i biedą w Krakowie wychodził. Za przybyciem Pepity zdaje mi się, że nie wielka liczba jego artystów dwu i czworo-nożnych, na adwentowy post i ścisłą dyetę skazana, żalom na biedę wiernie wtórować będzie.

Gaudelius sprowadzeniem Pepity, zrobił jako przedsiębiorca krok a raczej skok wielki.

Czy będzie mógł chodzić nadal krokiem zwyczajnym?.. Czy w zawodzie swoim tym jednym skokiem nie sforsuje sił tak dalece, że już drugiego podobnego skoku nie zrobi, i że na czworaku tak jak jego poprzednik Kraków opuścić będzie musiał? to są pytania które mu w właściwym czasie publiczność krakowska rozwiąże.

Pepita jako tancerka ma sławę europejską. W Niemczech otaczano ją hołdami, z któremi nie jeden geniusz i zbawca ludzkości spotkać się nie mógł.

Odgłos tych niezwykłych owacyj którym wszystkie gazety zagraniczne przebrzmiały, poprzedził przybycie jej do Krakowa.

Kraków wieści te przyjmował z tą powagą, z tym sprawiedliwym o sztuce sądem, jakie zwykle poważnych wiekiem i doświadczeniem cechują mężów. W tał i też a nie inny sposób i samą Pepitę byłby przyjął i powitał na scenie, ale nie na peronie Dworca kolei, nie z tryumfami, do których zasługa przed ludzkością wyłączne prawo mieć może. Ale Kraków jak każde inne miasto z pobłażaniem musi mieścić w sobie i takie żywioły, które mu zaszczytu przynieść niemogą. Żywioły te pozbawione w każdem innem położeniu rzeczy znaczenia i wszelkiego głosu, w podobnych zdarzeniach jakiem jest przybycie Pepity do Krakowa, występują zwykle na scenę i odgrywają na niej z nieporównanym zapałem rolę niby reprezentantów opinii publicznej, niby najemników przedsiębiorcy, którego głównym jest celem artystkę z której korzyść ciągnąć zamyśla, nadzwyczajnością i hołdami uwielbienia przed czasem otoczyć. — Właściwie zaś żywioły te w podobnych razach dobijają się a tout prix śmieszności.

Ale gdybyśmy wszyscy chcieli być surowo poważnemi i zimną rozwagą kroki innych jak swoje mierzyć, gdybyśmy nieprzebaczali nic tym do których uszów głos rozwagi i oględność na przeszłość nie trafia, jakżeby to życie, że go nazwę uliczném, a może domowe, było jednostajnem, bezbarwnem a dla miasta takiego jak Kraków nudnem? W cóżby się obrócił ów zapowiedziany od dni kilku przyjazd do Krakowa Pepity?... W cóżby się wreszcie zamieniły owe słodkie a żywotne marzenia Gaudeliusa?...

Otóż kiedy w chwili zapowiedzianego przybycia Pepity, owe żywioły w połowie ledwie znaki życia fizycznego dające a moralnie obumarłe, bezsenne noce przy szampanie trawiły, bijąc się z bezwładną myślą, w jaki sposób godnie i odpowiednio przyjąć na samym wstępie do Krakowa Pepitę?.. kiedy reprezentanci tego żywiołu wmawiali sami w siebie że w zaszczytnem i świetnem przyjęciu Pepity nie już o nią samą ale o miasto Kraków chodzi, ażeby niedopełnieniem tego co podług nich z porządku rzeczy należy, nie spadł na niego sprawiedliwy wyrok że z innemi miastami w Niemczech równać się niemoże, znalazła się nienawistna im hydra, która jakby na przekór najlepszym i najpiękniej pomyślanym ich chęciom, puszczała w mieście propagandę, w kilka słów surowej moralności ubraną — „iż żadna z kobiet, dobrze i cnotliwie wychowanych, na wystąpieniu Pepity znajdować się nie może.”

Gaudelius którego uszów echo tej propagandy dochodziło, już się widział nad przepaścią, deficit zwaną, bo za każde wystąpienie Pepity 400 złr. m. k. płacić zobowiązał się. Ale Gaudelius z pierwszego przerażenia przychodzi do siebie. Jednej potrzebował chwili do namysłu, drugiej, w której udał się z prośbą o wojskową muzykę, która miała powitać Pepitę na dworcu i pożyczenie jednego z pierwszych ekwipażów, w którym Pepita wjazd tryumfalny z dworca do miasta odbyć miała.

Podobno jednego i drugiego odmówiono mu stanowczo. Niepozostało nic innego jak spieszyć fijakrem do dworca; godzina bowiem przybycia pociągu, a z nim fortuny Gaudeliusa, już się zbliżała. I owa fortuna, lekka jak powiew wiosennego wiatru, wtoczyła się do dworca, ale nie jednem lecz na sześcio ciężkich żelaznych kołach, nie z zawiązanemi, ale z odkrytemi, pełnemi ognia miłości i mauretańskiego zapału oczami.

Przedsiębiorcy nadzieje odżyły, bo nad wszelkie jego spodziewanie, wszystko czem Pepitę na dworcu przyjąć zamierzał, znalazł przygotowane.

Było coś nakształt muzyki instrumentalnej, był i akiś chór wokalny, a więcej nad to, znalazł się ktoś nieproszony, mało komu znany, bo od kilku dni jako gość z królestwa polskiego w Krakowie bawiący, który Pepitę szumną mową z bukietem kwiatów, w imieniu mieszkańców Krakowa powitał.

Przed fijakierskim powozem rozesłano dywan, na który ów mówca improwizowany zniewolony był rzucić chustkę batystową od nosa ażeby nieprzyzwoite znalezienie się konia fijakierskiego przed pięknemi oczami Terpsychory zakryć.

Niebrakło na peronie ciekawych widzów, których za każdem przybyciem pociągu tłumnie spotkać tam można.

Było więc, niby wszystko, ale właściwie było niby coś, niby nic. —

Byli i tacy którzy przy tem przyjęciu, pełnem poświęcenia osobistej godności, dobre umieli zrobić interessa. Jeden bowiem z młodych

ludzi uznał za rzecz konieczną Pepicie konno przy powozie towarzyszyć, a że niemiał konia wierzchowego, bez namysłu więc kupił od przyjaciela obecnego na koniu, za 700 złr. m. k. wierzchowca. Właściciel dobrą nadzwyczaj zrobiwszy sprzedaż, zsiadł z konia natychmiast, a nowonabywca, uszczęśliwiony użyciem tak korzystnem cząstki spuścizny niedawno odziedziczonej, w tryumfie dopędził powozu w którym boginią tych wielkich hołdów wieziono. Dotąd wszystko szło po myśli przedsiębiorcy, jedna tylko nieprzyjazna jego widokom propaganda między kobiety puszczona, ćwiekiem siedziała mu w głowie. Ale bez potrzeby się biedził. Jako przybysz nieznał jeszcze usposobienia mieszkanek krakowskich, niewiedział widać że ciekawość wszystkie inne skrupuły pokona.

I rzeczywiście propaganda ta, była niewłaściwa i zbyteczna; — była po prostu wypływem żalu za ubiegłą młodością i skutkiem rezygnacyi, z jaką nas grzechy w pewnych latach opuścić muszą.

Lis w bajce Lafontaina dla tego że kiełbas wiszących dosięgnąć niemógł, wmówił sam w siebie że to są powrozy. Ale jakkolwiek przytoczenie sądu Lisa o kiełbasach może wam się zdawać niewłaściwe, bo Pepita nie kiełbasa, wszelako zapewnić was muszę, iż ten co propagandę między kobietami szerzył, że taniec Pepity ubliżający jest skromności, lisem jest a do tego lisem starym który nie na jednej kiełbasie przygryzł sobie zęby.

Kobiety też krakowskie, mianowicie te, których uszów propaganda doszła, zrazu przyjęły ją chórem a nawet z pewnem uczuciem pokory adwentowej.

Ale ciekawość! ciekawość pokątnie co innego szeptała. I skutkiem tych zdradzieckich podszeptów propaganda w łeb wzięła.

Widowiska cztery na których Pepita dwa razy po 10 minut tańczyła, pomimo potrojonych cen, przepełnione były widzami obojga płci.—

Pepita tańczyła cudownie.

Gaudelius może zaspiewać: Gaudeamus igitur...

Kraków, a przynajmniej pewna część jego mieszkańców o biedzie nie śmie spiewać tak głośno.

A przedsiębiorca teatru polskiego, po ciężkiej chorobie staczać musi walkę z temi czworo i dwunożnemi skoczkami. Walka zaiste nierówna i nie wielki zaszczyt dla mieszkańców Krakowa przynosząca. Kraków też stary, zgrzybiały, ale jeszcze pełen uczuć szlachetnych, w bolesnem milczeniu nowego doznaje przekonania że więcej w łonie swojem mieści ludzi zmysłowością się karmiących, aniżeli ludzi umiejących czuć, pojmować i oceniać to czego mu prawdziwie potrzeba. —

W tej chwili po napisaniu listu tego, za przybyciem znowu do Krakowa, dowiedziałem się, że Pepita z grzeczności tańcowała na benefisie Królikowskiego. W wigilią tego dnia był jej własny benefis na którym mało było widzów. Na benefisie zaś Królikowskiego teatr był zapełniony, a Pepitę za udział w tem widowisku publiczność polska oklaskami, oznaką szczerej wdzięczności będącemi, okryła.

Rozmaitość.

* **Dwa rozbicia.** Okręt wojenny, angielski, Birkenhead, płynął dumnie i lekko przez ocean. Na okręcie przewoził się pułk żołnierzy. Ujrzeli już brzegi Afryki dokąd zdążali. Wszystko zaczęło się ubierać w najlepsze sukńie aby uroczyście wejść na ląd i zaimponować tamtejszym mieszkańcom, osobliwie kobiety i dzieci. W tem silne uderzenie dało się uczuć wszystkim. Okręt uderzył o podwodną skałę i szybko począł się zanurzać.

— W pół godziny będziemy wszyscy pod wodą rzekł inżynier obejrzawszy dziurę w okręcie.

— I żadnego ratunku niema? zapytał dowódzca.

— Żadnego, czółna zaledwo wystarczą dla kobiet i dzieci.

— A więc szybko wszystko przenieść do czółen!

Odcięto czółna, płaczące dzieci i lamentujące kobiety przemocą wpakowano na czółna, niedawszy im czasu pożegnać się z mężami i rodzicami. Dowódzca krótko, po żołniersku przeznacza, kto kobietom i dzieciom towarzyszyć ma, by wiosłami kierować.

Teraz uderzono w bębny i zwołano cały pułk na pokład. W kilka minut już stali wszyscy w szeregu. Dowódzca w krótkich słowach, jakby to był rozkaz dzienny, oznajmił, iż okręt w kilka minut zatonie, iż każdy jako żołnierz i mąż umrzeć musi z sławą narodu angielskiego! Kobiety i dzieci uratowano dla narodu! „Morze w którem grób znajdziemy jest przecudnym smętarzem, w którym spoczywają kości samych prawie dzielnych Anglików. A więc z honorem zstąpmy do nich!.“ Zaraz dał rozkaz do nabicia broni. Po kolana już w wodzie, stali jeszcze jak mur w szeregu, i salwą z ręcznej broni pożegnali się z światem nadwodnym, gdzie słońce świeciło tak pięknie, i z kobietami i z dziećmi płynącemi na czółnach. Ramię o ramię, mąż obok męża, tonęli bez wydania głosu, każdy był za nadto dumny, aby próbować, czy też on jeden nie wyratuje się. Chmura dymu z wystrzału pożegnalnego spokojnie wznosiła się ku niebu, podczas gdy półk angielskiego wojska znikał spokojnie w nurtach oceanu.

Wypadek ten, który wydarzył się przed kilkoma miesiącami nie potrzebuje pochwał żadnych. Ale porównajmy go z podobnym rozbiciem amerykańskiego okrętu, które świeżo się wydarzyło.

Wielki amerykański parostatek pocztowy Arctic zatonął 27 października z 300 ludźmi. Należał ten statek do sławnych szybkożeglarzy amerykanina Collies, współubiegającego się z statkami Kompanii angielskiej Cunarda. Szło im zwykle o to kto prędzej o kilka godzin dopędzi do Nowego Jorku i Jankeesom przywiezia wiadomość o cenie bawełny, Jedna tylko Arabia z Cunarda statków była dotąd niezwyciężona. Otóż Arctic usadził się na to, aby jej palmę pierwszeństwa wydrzeć. Właśnie gdy jak najwięcej bieg swój wytężył uderza francuski parowiec Vesta, rzucony falą morską, o niego, sam rozbity w kilka minut tonie, lecz i okrętowi Arctic zadaje głęboką, śmiertelną ranę.

Dziury nie można było zatkać, bo drzazgi i żelaziwa Vesty w około się nastrzępiły. Okręt płynął jeszcze dwie godzin dalej lecz w końcu woda doszła aż do maszyny i ogień zagasiła.

Kapitan Luce stracił głowę zupełnie. Biegał po pokładzie, tysiące sprzecznych wydając rozkazów. Służba okrętowa, złożona z 150 Irlandczyków, drwi sobie z niego i tylko myśli o sobie. Wpadają na czółna i prócz swoich, bronią z pistoletami w ręku wszystkim do czołen przystępu, kobietom i dzieciom.

Z 300 passażerów połowa przeszło była z arystokracyi amerykańskiej, samych kobiet i dzieci. Wracały właśnie z podróży do Europy. Między niemi znajdował się także Collies, sławny naczelnik kompanii właścicieli statków pocztowych. Morze niemiało tak samo litości nad jego sławą i milionami złota, jak niemiała litości nad nim jego służba, która w posiadanie swe wyłączne wzięła wszystkie czółna.

Cztery godzin okręt tonął, a przez ten czas najdziksze sceny działy się nań. Służba okrętowa przebojem zabierała wszystko co z kosztowności i pieniędzy, wydrzeć mogła passażerom. Sto piędziesiąt kobiet i dzieci było na okręcie, matek, panien dorosłych, chłopców o jasnych włosach, nikogo majtkowie nie dopuścili do czółna, a kto usiłował wskoczyć na czółno, tego wytrącali kopiąc nogami i pięściami bijąc. Ani jedno dziecię, ani jedna kobieta nie wyratowała się.

Gdyby był ład i porządek na okręcie można było z kajut i z desek pokładowych zbić tratwę wielką na której wszyscy uratować i do brzegu dostać się mogli, lecz na to potrzeba było energicznego dowódzcy i posłusznej służby.

Kapitan stracił był głowę, niewiedział co ma czynić, a majtkowie to dzicz prawdziwa, nie czując władzy nad sobą rozszalała się.

Przecie kapitan miał tyle sumienia iż widząc ginących passażerów nie wszedł wraz z innymi oficerami na czółno lecz pozostał na okręcie z małym synem swym na ręku. Syn jego zginął, a on się wyratował.

Przyjechali od dnia 18. do 19. Grudnia do Lwowa.

PP. Eminowicz Kajetan, ze Smerekowa. Smarzewski Nikodem, Papara Henryk, ze Zubowych mostów. Ormezowski Franciszek, ze Złoczowa. Onyszkiewicz Adryan, z Tolczowa. Doliniański Seweryn, hr. z Dolinian. Krzyński Mieczysław, z Tarnopola. Borkowski Edward, hr. ze Sielca. Drohojewski Ludwik, z Radłowic. Wiktor Tadeusz, z Makowisk. Nahujowski Antoni, z Czsrnicy. Obertyński Leopold, ze Stronibab. Dzieduszycki Kazimierz, hr. z Niesłuchowa. Osmulski Stanisław, z Kuliczkowa.

PP. Małachowski Ludwik, z Rokitna. Zadarnowski Karol, z Brzeżan. Wodzicki Kazimierz, hr. z Podhajec. Dzieduszycki Jan, hr. ze Siehowa. Torosiewicz Michał, z Połtwi. Kielanowski Tytus, ze Zelechowa Wielkiego. Torosiewicz Maurycy, z Ostrowa. Janiszewski Ignacy, ze Żurawna. Sozański Franciszek i Jan, z Tarnopola. Sożański Wincenty, z Brodów. Karnicki Teodor, hr. z Michałowic. Sozański Sylwester, z Kornalowic.

Wyjechali od dnia 18. do 19. Grudnia ze Lwowa:

P. Pierzchała Ignacy, do Uszkowic.

PP. Krasiński Piotr, hr. do Rohatyna. Sokołowski Gustaw, do Brzeżan. Wiosławski Józef, do Husiatyna. Żarski Kazimierz, do Zubowych mostów. Komarnicki Jan, do Magierowa. Kalinowski Władysław, hr. do Bakończyc. Kulczycki Klemens, do Stankowy. Tchoruznicki Juliusz, do Cucułewic

Kurs telegrafowany z Wiednia 20 b. m. o g. 2. po połud.

Amsterdam	—	Medyolan za 300 lirów .	—
Augsburg za 100 złr. .	127 5/8	Paryż za 300 franków .	148 3/8
Bukareszt	—	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług 24 1/2 stopy	126 7/8	Srebra agio	—
		Pożyczka 5% 82 7/8 4 1/2	—
Genua.	—	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco	94	Akcye banku	—
Konstantynopol	—	Kolej północna	1880
Liwurno	—	Obl. ind.	73
Londyn za 1 funt szterl.,	—	Nowa pożyczka z loteryą	98 3/4
Marsylia	—	Pożyczka narodowa . .	85 15/16

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	54	złr.	5	kr.	58
Dukat cesarski	«	5	»	58	»	6	«	2
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	14	»	10	«	16
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	59	«	2	»	—
Talar pruski	»	1	«	52	»	1	«	54
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	26	»	1	«	27
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	»	88	«	—	»	88	«	30

Obligacye. indemnizacyjne 75. — do 75 złr. 20 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**